

20 w 2026 (637)

Rywalizacja – codzienny miecz obosieczny

Data publikacji: 13.04.2026 / Autor: Tymoteusz Semrau

Jednym z podstawowych mechanizmów motywacji, zgodnie z palcem „ręki metody” (zauważyliście, że co grafika, to inny palec?), jest współzawodnictwo. To instynkt absolutnie pierwotny, spotykany w naturze na każdym kroku. Czymże innym jest selekcja naturalna, rankingi w szkole czy pracy albo kategoryzacja drużyn? Mechanizm ten tkwi tak głęboko w naszej podświadomości, że często działamy pod jego dyktandem zupełnie bezwiednie.

Między rywalizacją a braterstwem

Ręka metody wskazuje jako fundamenty naszej pracy: system zastępowy, stopniowanie trudności, wzajemność i pośredniość oddziaływania, dobrowolność czy puszczanie. Moim zdaniem jednak to właśnie umiejętne połączenie współzawodnictwa i współpracy jest najtrudniejsze w realizacji. Często sprowadzają się one do tego, że rywalizacja i braterstwo to dwa końce tego samego, dość długiego kija, którym musimy umiejętnie balansować. Na kursach ostrzega się kandydatów przed przesadną rywalizacją, ale realia bywają różne. Jednocześnie warto zadać sobie pytanie: czy da się przesadzić z braterstwem? Zapewne tak, tyle że tutaj skrajności są znacznie trudniejsze do osiągnięcia, oczywiście nie mówię o patologicznym pojęciu braterstwa.

Problem stanowi natura i efekty rywalizacji. Gdy jako instruktorzy, na etapie projektowania zajęć czy punktacji, rozważnie przeanalizujemy jej zastosowanie, możemy skutecznie zmotywować uczestników. Rzecz w tym, że takie gry to nie odosobnione przypadki – to praca z żywym środowiskiem, które obcuje ze sobą nieustannie. Łatwo przeoczyć moment, w którym okazjonalna rywalizacja staje się fundamentem systemu pracy drużyny. Musimy pilnować, by system współzawodnictwa nie stał się celem samym w sobie. Łatwo jest skupić się wyłącznie na tym, co najprostsze do zmierzenia – długości obozu, punktach za grę czy nienagannym mundurze. Pamiętajmy, że to tylko wskaźniki (często dość powierzchowne). Prawdziwa praca wychowawcza dzieje się głębiej, a nie w tabelce.

Pułapka drapieżnej rywalizacji

Prawdziwy problem pojawia się, gdy premiowane zaczyna być cwaniactwo i presja. Nietrudno wyobrazić sobie sytuację, w której zastęp ma przejść grę terenową, ale jeden z harcerzy jest młodszy lub gorzej dysponowany. Przy zdrowym poziomie współzawodnictwa grupa motywuje go do wyjścia poza strefę komfortu – wtedy wszystko gra. Ale gdy „przekręcimy pokrętło” za mocno, gdy stawką są „złote laury” i chwała na wieki, pojawia się stres, presja na słabszych i konflikty. Efekt wychowawczy jest wówczas niemal wyłącznie negatywny, choćbyśmy pełnili służbę dla najbardziej potrzebujących. Prawdziwe wyzwanie zaczyna się tam, gdzie przestajemy traktować punktację jak wyrocznię, a zaczynamy dbać o zasady fair play. Sama ocena powinna przecież jedynie wskazywać obszary do rozwoju, a nie stawać się celem samym w sobie. Trudno bowiem mówić o sukcesie, gdy zwycięstwo okupione jest brawurą graniczącą z niebezpieczeństwem lub metodami, które nie mają nic wspólnego z rycerskością czy zwykłą uczciwością.

Największym kłamstwem drapieżnej rywalizacji jest bowiem przekonanie, że to ona głównie buduje charakter. W rzeczywistości często buduje jedynie ego zwycięzców i kompleksy pokonanych. Prawdziwa próba charakteru nie odbywa się wtedy, gdy biegniemy po puchar, ale wtedy, gdy musimy zwolnić, by nie zostawić z tyłu najmłodszego druha. Albo wtedy, gdy podejmujemy najtrudniejszy rodzaj walki – rywalizację z samym sobą z wczoraj. To tam, w pokonywaniu własnych słabości, a nie cudzych pleców, rodzi się najważniejsza zmiana.

Niestety, w wielu środowiskach standardem stało się mocne przesunięcie środka ciężkości na rywalizację. Takie drużyny nie są przyjazne dla każdego – bo jak ma się w nich odnaleźć najslabszy harcerz? Łatwo powiedzieć, że harcerstwo jest dla każdego, ale nie każdy jest „stworzony do harcerstwa”. Czy to jednak oznacza, że mamy eliminować słabszych?

W poszukiwaniu zdrowego balansu

Choćbyśmy byli najlepszymi instruktorami, mamy ograniczony wpływ na relacje podopiecznych, a i nad nami samymi bywamy czasem bezsilni. Wyobraźmy sobie jednak, że wychowanek takiej drużyny zostaje instruktorem. Jaką atmosferę będzie kreował? Jak taki harcerski „drapieżnik” i zwolennik tabelkowej wielkości ma później współpracować z drużynami o innym spojrzeniu lub w innej sytuacji? Jeśli model drapieżnej rywalizacji zdominuje proces formacji, ryzykujemy przekształcenie idei braterstwa w hermetyczny system animozji lub kluwarowej polityki. Moim ulubionym przykładem są podchody między drużynami. Analizując własne doświadczenia, dochodzę do wniosku, że nigdy nie byłem uczestnikiem gry w pełni czystej. Zawsze znajdzie się ktoś, kto z nastawieniem „wygram za wszelką cenę” omija zasady:

złapani grają dalej, fanty lądują w śpiworach, a wartownicy oświetlają las niczym łądowiska. Wystarczy mały impuls z drugiej strony, by nasi, nawet najbardziej braterscy harcerze przybrali mentalność barbarzyńców, dla których cel uświęca środki. Najsmutniejszym efektem wszechobecnej rywalizacji jest niemożność autentycznego zbratania się. Choćbyśmy najgłośniejszemu deklamowali ideały miłości bliźniego, rzeczywistość bywa inna. Blokujemy możliwość współpracy, myśląc: „jak mam pracować z druhem, przez którego oszustwo przegrałem walkę o złoty uścisk drużynowego?”. Prawdziwy autorytet i wpływ na innych nie powinien wynikać z miejsca w sztucznym rankingu czy sznura za siedem pięćdziesiąt noszonego przy mundurze, lecz z gotowości do służby wobec tych, którzy potrzebują wsparcia. Warto jednak uderzyć się w pierś: samym braterstwem świata nie zawojujemy. Jeśli całkowicie wykastrujemy naszą metodę z elementu starcia, ryzykujemy, że zamiast kuźni charakterów, staniemy się fabryką ciepłych kluch.

Sól metody i kierunek na współpracę

Braterstwo bez wyzwania, bez tej zdrowej, sportowej złości, bardzo szybko degeneruje się w kółko wzajemnej adoracji, w którym nikt od nikogo nic nie wymaga, a jedynym celem jest to, by było „miło”. Pamiętajmy, że strefa komfortu to miejsce bezpieczne, ale absolutnie nic w nim nie rośnie. Rywalizacja – ta podana w odpowiedniej dawce – jest jak sól: bez niej danie jest mdłe i niejadalne. Musi być ona jednak tylko bodźcem do wyjścia poza własne ograniczenia, a nie paliwem dla nienawiści. Nie zrozumcie mnie źle – nie jestem wrogiem porównywania się. Zdrowy ranking czy kategoryzacja może być świetnym lustrem, w którym odbija się nasza praca. Problem polega na tym, że jako instruktorzy daliśmy się złapać w pułapkę łatwych odpowiedzi. Próbuje odmierzać od linijki coś, co ze swej natury jest nieuchwytnie, indywidualne i specyficzne dla każdego środowiska. Zatrzymujemy się na powierzchownych wskaźnikach, bo łatwiej jest policzyć ilu mamy młodych harcerzy z naboru czy jak wielu ma idealne umundurowanie niż zmierzyć realny wzrost charakteru chłopaka, który po roku w zastępie przestał kłamać. Rywalizacja jest nam potrzebna jako silnik, ale nie pozwólmy, by ten silnik pracował na jałowym biegu, mając tylko cyferki w tabelkach. Prawdziwa praca instruktorska to przecież wychowanie niepowtarzalnej materii ludzkiego ducha, a nie wygrana w mało ważnych wyścigach. Niemniej ja wolę zbliżyć się do drugiego końca kija. Przecież lepiej być przyjacielem innego harcerza niż jego oponentem. Oczywiście rozwój psychiczny człowieka nigdy nie pozwoli całkowicie wyeliminować rywalizacji – tak działa nasza natura. Niemniej zachęcam Cię, drogi czytelniku, do poszukiwania innych motywatorów. Sam stosuję zasadę: minimum rywalizacji, maksimum współpracy. Jako instruktor w drużynie wodniackiej uważam, że odwrotne podejście byłoby po prostu groźne – kto bowiem rywalizuje na łodzi, ten naraża wszystkich. O ile przyjemniej jest budować wspólnotę siostr i braci, niż trwać w wyścigu, w którym za wszelką cenę muszę kogoś prześcignąć?

Tymoteusz Semrau

Instruktor w 34 Bydgoskiej Wodnej Drużynie Harcerzy “Bryg”, w harcerstwie od 2016. Prywatnie student informatyki, fan spędzania wolnego czasu na przypale, jak choćby przejście Camino, bo mu się spodobał budynek kościoła ☐ . Uwierbiam planować i się rozpisywać a i tak potem improwizować. Wiem także co nie co o aktywności na wodzie i poza nią, ale daleko mi do profesjonalisty.